



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



WAŻ NOSACZ.

W lasach zwrotnikowych żyje mnóstwo węzów niezbyt dużych, zielonej barwy, które wieszają się na drzewach z trudnością odróżnić się dają od wijących się tam wszędzie

lian czyli płatorośli. Do rzędu takich węzów drzewnych należy przedstawiony na rycinie nasz nosacz, w terminologii naukowej zwany *Dryinus nasutus*. Ojczyzną jego są gorące okolice Indyj, a zwłaszcza wielkie wyspy Jawa, Ceylon, Sumatra i inne. Ciało ma wysmukłe, nakształt batoga, głowę szerszą nieco od karku, spłaszczoną, pysk wydłużony, śpięzasty, w spokoju jest cały jednostajnie zielony, błyszczący, na brzuchu tylko nieco jaśniejszy, w rozdrażnieniu stroszy łuski i wówczas występują z podspodu pręgi czarne i żółte. Nosacz jest jadowity, nigdy jednak nie rzuca się na człowieka lub większe zwierzęta, żywi się tylko ptaszkami i innymi drobnymi stworzeniami. Przebywa ustawicznie na drzewach, siedzi zwykle zupełnie nieruchomo, a upatrzwszy zdobycz, rzuca się na nią gwałtownie. Węże te dochodzą niekiedy metra długości, zawsze są przytém bardzo cienkie.

Zbiór legend i podań dawnych

przez M...a.

KORCZAK.

(W polu czerwonym trzy rzeki białe, w helmie na wierzchu psia głowa w złotej czaszy. Lub odwrotnie: psia głowa w złotej czaszy w polu czerwonym, a trzy rzeki nad helmem. Klejnot ten jest węgierskiego pochodzenia).

Nad bujną węgierską krainą, zielonemi uwieńczoną wiunicami, dumają dzisiaj liczne stopy gruzów starożytnych.

u i owdzie rozrzuconych po wzgórzach. To szczątki wspaniałych twierdz i zamków, przesiąkłe krwią swych obrońców. Przed wielu setkami lat, zanim jeszcze światło chrześcijańskiej wiary rozproszyło pogańskie ciemności, jeden z tych zamków, na wysokości skały wzniesiony, należał do potężnego, znakomitego wojaka, nazwiskiem Zoard. Olbrzymia ta magnacka siedziba wraża bezustannym rycerskim gwarem, pełnią młodzieńczego życia. Czy to kraj potrzebował obrony i wyprawę sposobiono wojenną, czy strumienie złotego wina, przy hucznych okrzykach, płynęły wśród biesiadującego rycerstwa, okrzykującego dokonane zwycięstwo, czy świetne łowy sposobiono, lub króla obierano dla narodu, zawsze wszystkie ważne zdarzenia początek swój miały w Zoardowym zamku i sercu, i jego ręka kierowała narodowymi sprawami. Wielka potęga, wielkie dostatki, i wielkie serce, dawały mu prawo przodownictwa zawsze i wszędzie. I nie dopiero dzisiejszy wojak Zoard doszedł do takiej w narodzie powagi, lecz zawsze tak u jego przodków bywało, odkąd pamięć ludzka sięgała.

Właśnie pewnego dnia echa zamkowe odbijały jak zazwyczaj szczęki orężnej zabawy. Zoardowa małżonka, otoczona mnóstwem pań znakomitych, stała na krużganku, trzymając w dłoni wieniec zwycięzki. U jej stóp, na wielkim dziedzińcu, walczyła młodzież węgierska, wprawiając się w wojenne zapasy. Sam Zoard z mieczem w dłoni stał pośrodku i potęgą własnego ramienia mierzył siły wychowalców: wedle tego, jak kto lepiej lub gorzej dotrzymał mu placu w pojedynczym boju, bywał ten większym lub mniejszym okrzykiwanym wojakiem. Lud okoliczny, zgromadzony w bramach i na wałach, przyglądał się ciekawie. Bo Zoard nie zamykał się i nie odgradzał murami od ludu, z którym żył jak ojciec i jak ojciec był przezeń kochany.

Potężny tentent i goniec, wpadający w bramy, zwrócił ogólną uwagę. Goniec stawiony przed Zoardem, panem zamku, ważne wygłosił nowiny, z którymi ze stolicy przybywał:

— Panoński król wczoraj umarł! Wielki Zoard powołany został głosem ludu na tron Panonii.

Wszyscy obecni w dziedzińcach i na murach słyszeli nowinę przywieziona, i odpowiedzieli na nią jednogłośnie okrzykiem:

— Żyj i panuj po najdłuższe lata, królu Panonii, Zoardzie!

Przyjaciele, drużyna i poddani zarówno ochotczo uznawali Zoarda królem, jak cała Panonia.

Zoard podumał jakoś niechętnie, spojrzawszy orlem okiem na małżonkę, także zadumaną, i jak orzeł z orlicą porozumiał się z nią spojrzeniem: oboje rozumni ludzie, mając miłość całej Panonii, nie pragnęli już wcale jej korony, która ciernie zawiści miewa wśród kwiatów i złota ukryte. Nagle Zoard uderzył w róg: służebna drużyna otoczyła go:

— Jadę do stolicy! — zawołał. Skoczył na rumaka i pojechał, pożegnawszy żonę. Drużyna pomknęła za nim. Ale wszyscy już kręcili głowami, czytając w oku Zoarda, że go wcale nie wabi korona.

Nie myłono się. Zoard po to tylko pojechał do stolicy aby się od korony wyprosić. Wprawdzie zrazu nie chęiano o tem słyszeć, ale gdy przemówił gorąco i serdecznie do ludu i do panów, swych towarzyszy, gdy stanowczo oświadczył, że królem być nie chce, gdyż majestat jeszczeby mu przeszkadzał w osobistym stawianiu się za lud i kraj, wtedy nareszcie trzeba było Panonii pogodzić się z losem. Aby ich pocieszyć, Zoard ukazał na znajdującym się tam w pobliżu możnego także pana z rodziny Kaninów, uznając go tronu godniejszym od siebie, ponieważ z rodziny jeszcze starożytniejszej pochodził. Zoard okazywał w ten sposób wielką roztropność, gdyż jeżeli kto, to właśnie potężny Kanino i jego partya mogli być słerycie nieprzychylnymi jemu, a na ich zawiści najgorzej wyszedłby lud i kraj. Otóż temu zapobiegł Zoard. Przez miłość dla niego posłuchano jego rady, pyszny Kanino został królem Panonii, i pokój domowy utrzymano.

Przez czas niejaki było więc wszystko dobrze, ale nie trwało to długo. Pyszny Kanino, oddawna pragnący korony,

pokazał wkrótce pazurki, które starannie chował, chcąc się przypodobać ludowi. Teraz, osiągnąwszy upragnioną władzę, zaczął coraz bardziej puszczać cugle swym namiętnościom i skłonnościom szkaradnym. Okrutnik z natury, złośliwy, chciwy, prędko doprowadził poddanych do rozpacz. Ale Węgrzy umieją sobie radzić i nie lubią znosić krzyw cierpliwie. Nie odgrając się więc okrutnikowi, gdy tylko sprzykrzyło się ludzimi cierpieć, zmówili się pocichu i wysłali poselstwo do ukochanego Zoarda. Właśnie znowu jak zazwyczaj echa Zoardowego zamku odbijały szczęki orężnej zabawy, której celem bywała wprawa w grę orężną przeciw nieprzyjaciółom Panonii. Zoardowa małżonka, w otoczeniu pań znakomitych, stała na krużganku, trzymając w dłoni wieniec zwycięzki. Sam Zoard znów mierzył siły młodzieży, siłą własnego ramienia, lud patrzył ciekawie, gdy wtém potężny tentent i goniec wpadający w bramy zwrócił ogólną uwagę. Goniec stawiony przed panem zamku zapowiedział przybywające poselstwo narodu. Za chwilę ujrano rzeczywiście zbliżający się orszak, poważnych mężów posłów. Przybyli, stanęli przed Zoardem i siwobrody najstarszy z nich tak rzekł:

— Dzielnym Zoardzie! ulubieńcze nasz! synu i ojczu razem naszej krainy! Kazałeś nam wziąć za króla Kanina, i wzięli go z twojej poręki. A oto wiadomo tobie, że miano Canino włoskie jest i znaczy psa! Jakoż miano nie kłamic, my nieszczęśliwi psa dzikiego okrutnika mamy teraz za pana! Ty, któryś go nam poradził, radź teraz, abyśmy go nie mieli! bo mieć nie cheemy!

Zoard zasmucił się, pomyślał, i rzekł nareszcie:

— Słusznie mówicie, jam winien nieszczęściu waszemu. Wracajcie cicho do domów waszych i czekajcie krótką chwilę, bo albo sam głowę położę, albo uwolnię was od tego psa okrutnego i jego zauszników, których wam narzuciłem w najlepszych zamiarach.

Posłowie znali ważność słowa Zoardowego, uczynili przeto, jak kazał. On zaś natychmiast wydał odpowiednie rozkazy swym drużynie i możnym towarzyszom. Cicho i spokojnie zebrał się w nieznacne gromadki, mieli wszyscy znaleźć się w dniu oznaczonym w stolicy, i otoczyć pałac Kanina okrutnego i bogate dworce jego zauszników. Natychmiast zajęto się spełnianiem tych rozkazów. Zoard tymczasem, wzięwszy za rękę dwunastoletniego chłopczynę, synka swego, wszedł wraz z nim na wieżę zamku, z której oko niezmiernie ogarnąć mogło przestrzenie, i wskazując je, tak mówił:

— Synu mój! trzy są rzeki w królestwie sławne: Dunaj, Sawa i Cissa. Nad temi rzekami przodkowie twoi, herbu Czasza, walczyli i zwyciężali od niepamiętnych czasów nieprzyjaciół tej ziemi. A znak ich rodzinny Czasza, czyli Korczak, siedł wszędzie na chorągwi przed nimi, na postrach niecnym, którzy śmierć jakoby wypijać z tej czaszy musieli na pocięgę zacnym, którym bywała ona zawsze godłem braterstwa i gościnności. Tak było zawsze, i tak ma być nadal. Ty o tem pamiętaj, co ma być, bo mnie może wkrótce zabraknie na ziemi. Widzisz tam na równinie sposobną się drogą moją drużynę, a przed nią na chorągwi widzisz błądzącą w słońcu złotą czaszę. Złego psa ja sam wypuściłem na lud, i lud widział, że przybył nań płakać przedemną. Jadę więc teraz, aby w czaszy tej śmierć podać psu okrutnemu. Ale pies ten jest silny, jeśli przeto zginę w walce, to pamiętaj, co ci powiedziałem w tej chwili, pamiętaj, po złotą czaszę nosimy!

To rzekłszy, Zoard uściskał syna, pożegnał żonę, z wierzby zstąpiwszy, potem dosiadł rumaka i pojechał ze zbrojnym hufcem do stolicy. Nie był on tam od dawna. Gdy tylko zatem ujrano go na czele zbrojnego oddziału, natychmiast zjawił się przed nim posłaniec króla Kanina, zapraszając go na królewski zamek.

— Tam jadę — powiedział Zoard. Ale gdy do bramy dojechał i przekroczył ją, straż królewska skrzyżowała broń, zabraniając wstępu jego drużynie i mówiąc:

— Nie wolno u nas wstępować zbrojnie na królewski zamek. Przeto ty, mężu Zoardzie, oddaj broń i tak do...

ce, i tak z niesłychanym trudem, widząc jego trwogę szraszliwą, zaledwo byli w stanie dowiec się w pobliże stajni, gdy stary Jowan, wyszedłszy z domu, spostrzegł ich, acz z powodu niedzieli później dnia tego zbudzono się we wsi.

— Co to jest? — krzyknął Jowan, a Miłosz odrzekł bez namysłu:

— Ja sam nie wiem, musiałem chyba w przystępie gorączki wyjść ze stajni, i... i...

— Znalazłam Miłosza zemdlonego koło naszej chaty — dopowiedziała Milica, czując instyktownie, że Miłosz pragnie ukryć dokąd chodził.

— A gdzie był Dżurt? — pytał gospodarz.

— Musiał zasnąć, przyszedł dopiero na moje wołanie! — odrzekła Milica żywo. Kłamała po raz pierwszy w życiu.

— Zasnąłem — potwierdził Dżurt pokornie.

W czasie tej rozmowy wprowadzono Miłosza do izby już, zamiast do stajni, położono na wołokach, nakryto i wszyscy uczuli, że ciężkie zło nadeszło, że teraz nieprędko on już zerwie się z tego posłania, aby iść do obowiązków, jeżeli tylko zerwie się kiedykolwiek. Przy takim smutku, nie wszystko nawet mogło iść zwykłym, w domu i w całej zadrudze, porządkiem. Gdy po śniadaniu rodzina rozeszła się, gdy druga znachorka, przyszedłszy i obejrzawszy chorego, powiedziała, że źle jest z nim, Milica uciekła do komory, gdzie uklękłszy płakała okrutnie, a usta zatulała zapaską, aby choroby nie słyszał płaczu serdecznego. Jedną z najpracowitszych dziewcząt w zadrudzie nie była dziś w stanie jąć się roboty, płakała i modliła się razem, od czasu do czasu zaglądając tylko ostrożnie do Miłosza, tak, aby on jej nie widział. Starsze kobiety czuwały kolejno, lub przychodziły często do chorego, wypełniając różne rozkazy znachorki, podając odwary z ziół, nacierając maściami. On zdawał się zapadać w coraz większą gorączkę, niepokój jakiś ogarniał go, dochodzący prawie do szału, w miarę jak dzień upływał i wieczór nadchodził, aż nakoniec zaczął siostry uplać na głos cały, błagalnie. Kobiety spojrzały na siebie:

— Oho, już po nim; sam to czuje i siostrę chce żegnać — szeptała ta i owa i poszły po Milicę.

— Pójdź do brata, bo chce cię pożegnać! — powiedziała jej stara majka Jowanowa z całą prostotą i powagą, jakimi lud przyjmuje ponurego gościa, wstępującego w prógi domostwa: Milica wstała z kłęczek, otarła oczy mokrą chustką, aby o ile można łzy ukryć i poszła. Miłosz wskazał jej trójnog niski, przy jego wężłowiu stojący, a gdy usiadła, ujął jej rękę skinał na majkę, aby wyszła i zamknął oczy. Stara majka odeszła i płacząc usiadła w drugiej izbie. Jakkolwiek Milica i Miłosz nie zawarli jeszcze związku braterstwa wedle prawideł, przecież nie ulegało wątpliwości, że dusze ich już je zawarły, a związku tego świętość jest tak wielką, że ani nawet rodzona matka nie ośmieliłaby się przeszkadzać, gdy brat siostrę swą żegnał. Usłyszawszy skrzyp drzewi, zamykających się za majką, Miłosz otworzył palające gorączką, dziwnie zwiększone oczy, potoczył wzrokiem po izbie i zatrzymał go na Milicy, silnie ściskając jej rękę, i potem mówił szeptem tak cicho, że musiała głowę przychylić, aby słyszeć:

— Siostro, jeżeli ty mnie nie poratujesz, zgubię duszę noję, bo umrę, nie dotrzymawszy strasznej a świętej przysięgi!...

— A więc nie zgubisz duszy, mów, co czynić trzeba? — krótko odparła dziewczyna, zupełnie na pozór spokojna.

— Gdy noc zapadnie — szeptał, dysząc ciężko — wyjdź niewidziana z domu i z siola, udaj się w góry, przez las, prosto do Czarnego Krzyża... sama jedna!

— Do czarnego Krzyża... sama jedna... — powtórzyła, drżąc bezwiednie.

— Stanąwszy nad Mogilnym jarem u stóp Czarnego Krzyża, odezwiiesz się po trzy razy głosem sowy... jeżeli wtedy usłyszysz głos ludzki, który klnąc z gniewem powie „ki liho, co tu znów za sowa jęczy?...” natenczas ty powiesz „Sowa ze Starego Klasztoru” i wtedy stanie przed tobą czło-

wiek i zapyta „Jak się ma mnich?” a ty odpowiesz w te słowa: „Umiera ze wstydu i żalu, że oszukiwać musiał ojca Jowana i tajemnicę miał przed siostrą Milicą; przeszłej nocy był jeszcze, gdzie być powinien, dziś już wstać na nogi nie może,” to powiedziawszy, wysłuchasz odpowiedzi i mnie ją przyniesiesz. Oto ciebie proszę, siostro. A powiadam ci, nie lękaj się iść koło Starego Klasztoru, bo ksiądz i starszyzna prawdę mówią, wierz mi, duchy nie po to idą na lepsz świat, aby na ten napowrót wracać miały. Raczejbyś się złego człowieka obawiać mogła, ale niema tu takich w okolicy, a na wszelki wypadek, oto masz gwizdawkę, gdybyś spotkała obcego a spytał cię, kto jesteś? mów żeś „sowa ze Starego Klasztoru” a gdyby to nie pomogło, zagwizdaj w tę gwizdawkę... Czy uczynisz to wszystko, siostro?

— Uczynię!... — powiedziała głucho i krótko, bo trudno było jej mówić więcej, patrząc na dyszącego ostatniem tchem Miłosza.

— Ale jak uczynisz, aby wyjść niepostrzeżona?

— Nie wiem... ale uczynię... — szepnęła.

— Czy wierzysz, że nie do złego namawiam ciebie? — pytał, odetchnąwszy.

— Przecież tyś mi bratem! — odparła.

Chwilę milczał, aż nagle ręce załamał, szepcząc rozpacznie:

— Trzy dni!... gdyby mi na trzy dni jeszcze siły starczyło, byłby tamten może wrócił... byłbym dotrzymał przysięgi!... Wieczór nadchodzi, siostro, ratuj! Niech oni przynajmniej wiedzą, że mi nie krzywo przysięga, tylko umieram.

— Bądź spokojny, bracie, oto idę... — rzekła Milica, wstała i ostatniem spojrzeniem brata żegnając, nieledwie pewną była, że nie ujrzy go więcej. To, czego on od niej żądał, było złamaniem posłuszeństwa względem zadrugi i własnych rodziców, to też w innym razie Milica byłaby w ciężkiej rozpaczcy z powodu takich brata wymagań, ale teraz w obec trwogi i rozpaczcy o Miłosza życie, małały i nikły te nie trwogi. Zrozumiała ona doskonale powód choroby brata, czuła że i ona zmuszona oszukiwać tych, którym posłuszeństwo winna, nie przeżyje tego chyba, a jednak nie wahała się ani chwili: przysięga Miłosza, groza, że on duszę zgubił, przeważała wszystkie inne względy. Milica sama nie prawdę nie wiedziała, jak dopełnić jego woli, ale mimo to pewną była, że ją spełni bądź cobądź! Wyszedłszy do głównej izby, ujrzała w kącie skurczoną na wołoku starą majkę Jowanową płaczącą, przystąpiła do niej i chciała skłamać znowu tak, jak w przystępie strachu skłamała już rano przed Jowanem, dla ukrycia, z kąd przyprowadzono Miłosza, ale ów strach chwilowy przeminał i kłamstwo w żaden sposób przez usta dziewczyny przejść nie chciało, powiedziała więc prostu:

— Majko ukochana, pozwól mi, gdy noc zapadnie, wyjść z domu i niech o tem wie tylko Bóg i ty!

Matka rodziny podniosła głowę i bystro a głęboko wpatrzyła się w oczy dziewczyny, którą, zarówno jak jej matkę, sama wychowała. Któż wie, co teraz wyczytała w tych oczach łzami zalanych? Może całą prawdę, bo oczy zwierciadłem duszy są przecież. Dość, że po chwili takiego patrzenia, majka wstała wyprostowana, jakby urosła i nie spuszczaając oka z dziewczyny, szepnęła cicho, ale urażycie z tajemną grozą jakąś:

— Bóg patrzy w serce twoje i Miłosza!...

— Niechaj patrzy!... — powtórzyła bolesnie dziewczyna, ręce i oczy do nieba podnosząc.

— Idź, Bóg z tobą, ... — szepnęła majka. Kilka kobiet weszło w tej chwili do izby, zajmując się rozpalaniem ognia i zwykłym cowieczornym domowym zakretem, majka zwróciła się ku nim, aby im przewodniczyć, jak zawsze, a Milica, przysiadła wśród nich zwoina, jakby senna i wszedłszy na łóżko, gdzie z siostrami towarzyszkami sypiała w izdebce matki, wstała do roboty i do własnej chatki wróciła. Zdziwiła się, widząc w kącie na wołokach i czekała.

XV.

Jak Milica najprzód umierała ze strachu, a potem ożyła z radości.

— Majko! — szepnęła któraś z dziewcząt u ogniska po niejakej chwili — Milica siedzi tam na górze nieruchoma, i patrzy tak dziwnie, prosto przed siebie... czyby i ona chora była?

— Niech Bóg broni od złego! Czary na naszych młodych, czy co?... — mówiły kobiety między sobą. Matka własna Milicy otarła oczy i spojrzała na starą majkę Jowanową, jakby od niej pomocy żądała, wiedząc dobrze, że dziewczyna rozpacza nad Miłoszem tak, iż żadne uwagi własnych rodziców wpływu już na nią nie mają:

— Zaraz, zaraz ja tam do niej pójde... — mruknęła Jowanowa w odpowiedzi na błagalne matki Milicy spojrzenie, i po chwili, gdy wszyscy już co do jednego zgromadzeni byli u ogniska i zajęci, poszła na górę. Nie weszła jednak wcale do izdebki dziewczęcej, tylko wsparła się o ścianę na górze wschodów i stała zadumana, nieruchoma, jak posąg. Po niejakiem czasie Milica ukazała się wśród poddasza, zawsze jakby senna, przeszła bez szelestu koło majki i zszedłszy ze schodów, znikła w drzwiach uchylonych od dworu, w chwili gdy matka zadrugi podniosła ręce, błogosławiąc dziewczynę zdaleka. Co przy tem wszystkiem myślała Anka Jowanowa? trudno to wiedzieć; ale była to kobieta roztropna i doświadczona bardzo, pamiętała dużo, a wiedziała daleko więcej niż się zdawało, może więc i o sprawach Miłosza wiedziała więcej niż on sądził, lub się domyślała, i przeto wiedziała, co czyniła, gdy po zniknięciu Milicy weszła do głównej izby, a stanawszy pośród zgromadzonej zadrugi, rzekła:

— Niechaj mi nikt nie wchodzi do izdebki na górę!.. trzeba Milicy dać spokój!..

Wola starej majki prawem tu była, to też nikt, ani nawet rodzona Milicy matka nie pomyślała iść do niej, pewna, że dziewczyna śpi, uspokojona mądrej staruszki rozmową.

Milica tymczasem szła kołując i kryjąc się ostrożnie, bo choć własna zadruga, zgromadzona cała u ogniska, nie mogła jej widzieć, to należało strzedz się obcych. Ciemny wieczór, pora wieczery, i postrach, wywołany zjawiskiem w Starym Klasztorze, pomagały dziewczęciu, wieś była prawie pusta na zewnątrz chat, a poza wsią, ku Klasztorowi wyszedłszy, Milica nawet kryć się nie potrzebowała, bo na dziesięć mil w okóło nieznalazłby się nikt tak odważny, aby o tej porze ośmielił się tędy przechodzić czy przejeżdżać.

I ona drżała; i to nie z żadnego szlachetnego wzruszenia, jak drżała patrząc na umierającego Miłosza, lecz po prostu ze strachu. Milica była pełnem prostoty dzieckiem ludu; jeżeli rano odważyła się szukać Miłosza aż w gruzach Starego Klasztoru, to tylko dlatego, że przerażenie o brata odjęło jej przytomność, ale teraz była przytomną, Miłosz umierający był poza nią, przed nią daleko jakiś cel, jakaś powinność do spełnienia, zarówno niepojęta jak święta i nieunikniona, a naokoło czarna noc, hucząca nadciągającą burzą, pełna dzikich, odległych szumów, pełna bladych widm, wyległych w gruzach Starego Klasztoru, rysujących się czarnym, niewyraźnym ogromem w czeluściach. W te czeluści Milica musiała iść, bo do Czarnego Krzyża tylko przez Stary Klasztor wiodły, niekażdemu znane, tajemne ze względu na Turczyń, ścieżki. Była chwila, że minawszy już studnię klasztorną i w bramę rozbitą wstępując, Milicy sił zabrakło,

uczula, że kona ze strachu, nogi przyrosły jej do ziemi, całe tłumy bladych mnichów powstały przed nią, a w tejże chwili ognisty zygzak rozdarł czarne niebiosy i piorun jęknął straszliwym głosem: (d. c n.)

ZAGADKA.

(Od Zabki z nad Smotrycza dla pana N.)

Może wierzyć nie zechcecie,
Jednak prawdę mówię przecie,
Kto czytać nie umie, chociaż mnie używa,
Nie ma o mnie pojęcia, tak to często bywa.
Wielką ja jestem w Maju, małą w środku ziemi,
Choć wielkich nie unikam, nie gardzę małemi,
W morzu jestem, lecz nie w wodzie,
W mroźnej zimie, lecz nie w lodzie,
Ważną jestem u Mojżesza,
Choć mnie nie zna żydów rzesza.
Nie mają mnie Litwini ani też Polanie,
W Mińsku i na Mazowszu jam na pierwszym planie,
W majątku jestem i miliony tworzę.
W życiu mnie niema, nie sieję, nie orzę.

Łamigłówka liczbowa geograficzna.

(Od Jowisza dla Kazia).

Z dziewiętnastu liter imiona i nazwisko nieżyjącego poety z XIX wieku. Przystawiając litery otrzymane:

8, 11, 10, 9, 1, rzeka w Europie
9, 7, 2, 18, 19, 15, 1, miasto we Włoszech.
1, 3, 7, 2, 15, miasto w Grecyi.
11, 4, 8, 1, 2, rzeka w Europie.
11, 7, 2, rzeka w Europie.
12, 1, 2, 6, 10, kraj w Europie.
13, 14, 11, 1, rzeka w Europie.
6, 2, 8, 15, 7, kraj w Azji.
3, 11, 1, 19, 15, 1, kraj w Europie.
9, 1, 11, 2, 10, miasto na półwyspie bałkańskim.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go

Szarady:

De — li — ka — te — sy.

Łamigłówki geograficznej:

W	H	P	W	P	D
I	E	R	O	E	R
S	K	A	Ł	K	A
Ł	L	G	G	I	W
A	A	A	A	N	A

Prenumeratorem kwartalnym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

TREŚĆ: Wąż nosacz (z drzew.) — Zbiór legend i podań dawnych, p. M—a. — Obawy pensyonarskie, komedyjka w 5 odsłonach. — Skala Kmity (z drzew.) — Tajemnica starego klasztoru, powieść z dziejów serbskich p. M—a. (c. d.) — Łamigłówki i rozwiązania. **W dodatku:** Zdobyta lodownia, p. Ciocię Zosię (z drzew.) — Okropny wypadek Karolka, który się nie chciał uczyć, wiersz p. Gabryele Jasieńską. — Opowiadania Mamy, p. Z. Bukowiecką. — Rodzeństwo, opowiadanie Wiochny z pod Lublina. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Osadnicy kanadyjscy, naśladowanie angielskiej powieści kapitana Marryat'a.

ZDOBYCIE LODOWNI.

Ofiarowane Jankowi z Jeleniowa.

-- Na co też to panicz łapie tego koguta, kto to widział takie zbytki robić — mówiła stara Maciejowa, do sześciolatniego Kazia.

— Moja droga, moja kochana Maciusiowa, wyrwijcie największe pióro z ogona, bo to widzicie ja będę jenerałem — prosił chłopczyzna.

— Oto mi genyrały nielada, a jak mamuazel zawoła „lesą”, czy jakoś ta, to cóż będzie z genyrała hę?

— Nie, tak niedobrze, trzeba koniecznie, żeby była muzyka, bez muzyki za nic wszystko; słyszałem od jednego wielkiego żołnierza, że jak muzyka gra to się nawet nie czuje choć kula trafi i krew płynie.

— Jaki ja jestem zapominalski — zawołał Franuś — przecież ja mam bęben.

— A ja trajkotkę, co sobie na Wielki Piątek kupiłem, żeby biegać koło kościoła — dodał Władzio — będzie i muzyka.

— To idźże, facecie, i przynieś — zakończył z rozkazującą miną Karolek, którego w szkole nauczył się tego niemądrego wyrazu.



Zdobycie lodowni.

— Cicho Maciejowa, nie mów mi tylko wyrwijcie pióro. Józio będzie mi ogromny kapelusz z papieru, ja takiego zrobić nie mogę, przypnę więc pióro.

Maciejowa pomruknęła coś pod nosem, ale złapała koguta. Biedak był już na chwilę potem Kazio maszerował, z piórem w ręku i kapeluszem na głowie.

Tymczasem Franuś i Władzio z drugiego podwórza, z młodszym Karolem i Władkiem, a nareszcie Karolek, który wracał ze szkółki, przyłączył się także.

Ten nie miał żadnego uzbrojenia, bo nic nie wiedział o wojnie, prędko więc złapał kij i siadł na nim, jak na koniu, kij służył za strzeibę, a że czapkę miał z prostym daszkiem, do żołnierskiej podobną, wyglądał więc jak prawdziwy wojak i szedł w samym środku.

— Raz, dwa, raz, dwa — rachował Kazio idąc na przdzie — na pra-a-wo, stój! — stanęli wszyscy, wojsko było doskonale wymusztrowane, ale Kazio był niekontent.

Za chwilę wrócił Franuś z bębnem, a Władzio z trajkotką.

Bęben był ogromny, prześliczny. Kazio zrobiło się bardzo żal, że nie on bębnic na nim będzie.

— Wiesz co, Franusiu, każdy jenerał musi mieć bęben koniecznie, a ja jestem jenerał, daj mi bęben, a ja ci co innego przyniosę.

Franusiowi było żal bębna, ale wiedział, że żołnierz musi słuchać jenerała, oddał więc. Kazio byłby Franusia uściskał, ale nie wiedział czy to wypada, żeby jenerał całował żołnierza. Pobiegł prędko do kuchni.

Na myśl o Maciejowej zrobiło mu się jakoś nieprzyjemnie koło serca, i pocichutku otworzył drzwi.

W kuchni nie było na szczęście nikogo. — Kazio szybko nchwycił za miotłę, stojącą w kącie, ale wtém zobaczył parasol. Co tu wziąć? Nie namysławiając się długo, wziął i miotłę i parasol.

— Cóż ja zrobię z parasolem? — zapytał trochę obrażony Franuś.

— Siądziesz na niego jak na kij, a gdy pójdziemy do ataku, otworzysz raptem... fru... i wszyscy się przestraszą. Franuś zrozumiał doskonale, czego chce generał i obiecał wykonać dokładnie rozkaz. Józio przywłaszczył sobie miotłę i wojsko znów stanęło w szeregu.

— Teraz marsz, do ataku—zakomenderował Kazio.

— Ale gdzie pójdziemy? — zapytał Karolek.

— Gdzie? gdzie? czekajcie... Trzeba coś zdobywać, bo jesteśmy piechota, a Batory piechoty potrzebował do zdobywania.

— Przecież my jesteśmy i konnica — powiedział z dumą Józio, poprawiając miotłę.

— No tak, ale to *niby* konnica — zakończył Kazio, którego bolało to, że trzymając bęben nie może już siedzieć na kiju.

— Wiecie! — zawołał Karolek — widzicie tę lodownię? to będzie forteca. — Dalej bracia! na armaty!

— Na armaty! — krzyknął generał, a za nim wszyscy waleczni żołnierze.

W jednej chwili pomaszzerowali w wielkim porządku, ale, na dziesięć kroków od lodowni, szyk wojenny się złamał, bo każdy chciał być pierwszy na dachu.

Pędem więc wpadli na płaski, z gontów i drewnianego dachu, gdy wtém *krach!* dach się załamał i w jednej chwili waleczna armia zniknęła. Tu i owdzie sterczały tylko nogi i końce kijów.

Szczęściem lodownia nie była głęboka, a przytém Maciejowa widziała zdaleka jak jęj panicz pędził najpierwszy.

Przybiegła więc i za nogę wyciągnęła generała, a za nim i resztę żołnierzy. Trochę się przytém podrapano, nabito sobie parę guzów, ale lodownia stanowczo została zdobytą i wojsko krzyknęło z zadowoleniem: Wiwat generał!....

Carla Zosia.

Okropny wypadek Karolka, który się nie chciał uczyć.

Mały Karolek był niezłym chłopczyką,
Nigdy nie kłamie, nigdy się nie czubi,
Tylko do lekcji z rzadką idzie miną,
Wcale się uczyć nie lubi.

* * *

Choć nasz Karolek skończył siedem lat,
Choć mama prosi, a bona narzeka;
Choć dobry przykład starszy daje brat,
Chłopiec od książki ucieka.

* * *

Raz, choć do lekcji wołany przez mamę,
Pan Karol, prędko czmychnąwszy przez sad,
Wybiegł z ogrodu i hejże za bramę,
Użyć swobody, z całej duszy rad.

* * *

Tam za ogrodem mały lasek stoi,
W nim pełno jagód, słychać ptaszków śpiew,
Karol odważny, nigdy się nie boi,
W biały dzień igrać w pośród ciemnych drzew.

* * *

Tutaj go nęci czerwona jagódka,
A tam, pod krzakiem, leśny grzybek stał,
Używaj chłopcze! bo swoboda krótka,
A jutro, nie wiem czy ją będziesz miał.

* * *

Nagle! gdy chłopak tak błądzi po lesie,
Pobladł! bo przed nim stanął straszny zwierz,
Pod jego ciężką stopą trawa gnie się,
Zmykaj Karolku! nogi za pas bierz!

* * *

Włosy się jeżą chłopczynie na głowie,
Zębami szczęka i choć wielki zuch,
Od stóp do głowy przechodzi go mrowie,
Wziął nogi za pas, i na drzewo buch!

* * *

Zwierz był okropny, bo sierść na nim bura,
W oczach widoczny apetyt i gniew,
Chłopiec drży cały, cierpnie na nim skóra,
Może to niedźwiedź! a może to lew!

* * *

Biedak się modli i płacze i wzdycha,
— Już będę pilnym! — woła z całych sił,
Ale pod drzewem straszny wróg wciąż czycha,
Schrupać Karolka w zębach radby był.

* * *

O! stokroć lepiej ci było próżniaku,
Siedzieć nad książką, i łykając lzy
Powtarzać słówka, niżli tu przy krzaku,
Być smacznym kąskiem na niedźwiedzie kły.

* * *

Ale na szczęście Karolka, wśród lasu,
Stary ogrodnik dziś poziomki rwał,
A usłyszawszy tak wiele hałasu,
Przybiegł pod drzewo, w rękę pałkę miał,

* * *

Odpędził kijem okropnego wroga,
Chłopiec zszedł z drzewa, wybladły wśród łąz,
O! jakież wielkie oczy miewa trwoga!
To nie był niedźwiedź, to był sobie pies.

* * *

Odprowadził więc pan Karol do domu,
Dziękując się ucył, od dnia tego już,
Proszę was dzieci, nie mówcie nikomu
Jaki to z niego był próżniak i tchórz.

Gabriela Jasieńska.

OPOWIADANIA

— Mam dla ciebie, mój drogi Stasiu, ciekawą historią, ale tę trzeba pamiętać koniecznie, bo będzie w niej dużo rzeczy prawdziwych o rycarzach, królach, bitwach, i daleko ciekawszym będzie to opowiadanie od wszystkich dawniejszych.

Często bardzo, mój drogi Stasiu, pytasz mi się co to było dawniej? otóż o tém dawniej mówić ci dziś będę, byleś chciał słuchać uważnie i nie myśleć na ten raz, ani o kotkach, ani o kanarku. Wystaw więc sobie, że dawno, bardzo dawno temu, nie było tu gdzie teraz jesteśmy, ani domów, ani sklepów, ani kościołów, ani młyna,

RODZENSTWO.

OPOWIEDZIAŁA WIOCHNA Z POD LUBLINA.

(Dalszy ciąg).

yko był wielki las. Ludzie w nim nie mieszkali, za to mnóstwo chodziło zwierząt: i wilki, których się boisz i sarny, które ci się tak podobały i wiele innych jeszcze, to których później uczyć się będziesz.

Żyły sobie spokojnie te stworzonka w zgodzie, bo nikt im zabawy nie przerywał. Jakże się więc biedne zdziwiły, kiedy razu jednego słyszą krzyk, hałas, stukot. Z początku wszystkie ucichły, przysłuchując się coby to było, wтім drzewa zaczynają się przewracać, coraz to puściej robi się wokoło, zdziwione i przestraszone zwierzęta widzą, że to jacyś ludzie z dużemi kamiennemi siekierami ścinają im ich stare dęby i są powodem tego całego hałasu. Ty sam pewno będziesz ciekawy, co to byli za ludzie? co tak bez pozwolenia, rządili w cudzym lesie.

Otóż byli to pierwsi nasi ojcowie, których zwano słowianami, a którzy przyszli w te strony, by sobie na zawsze mieszkanie wybudować. Było ich niewielu, ale mieli mądrego i sprawiedliwego dowódcę. Nazywał się Lech i wszystkim dawał rozkazy. Lech był bardzo silny i ogromny mężczyzna, nie nosił tak jak twój tatko surduta, tylko był ubrany w skóry, że go ani deszcz nie przemoczył ani mróz nie przeziębził.

Stał na górze, rozkazywał wszystkim, i wszyscy go słuchali, wiedząc że mądrze i sprawiedliwie rządził; ale w tej chwili był bardzo zamyślony, bo jak tu nazwać miasto, które miał budować? Trzeba było koniecznie aby się pięknie nazywało, skoro miało być największém i najwspanialszém w całym kraju. Lech stoi i myśli i nic wymyślić nie może, a jego żołnierze, ścinają drzewo za drzewem.

Wтім podcięli ogromnego dęba i ten powoli staczał się kiedy z samego jego wierzchołka spadło, zgadnij co? gniazdo! ale to prześliczne, ogromne gniazdo orle i potoczyło się pod nogi zadumanego Lecha. W tem gnieździe były małe, białe ptaszki, a chociaż małe, takie już waleczne, że kiedy je dotknąć chciano, broniły się dziobami i trzepotały skrzydełkami. Lech podniósł gniazdo, przypatrzył się orlętom, a potem zawołał na swoich ludzi.

— Przeście! dosyć już na dziś roboty, znalazłem czego szukał, moje miasto nazywać się będzie Gniezno, a ptaszę to będzie nam przykładem, jak się broni własnego gniazda. Odtąd ile razy do bitwy iść będziemy, na chorągwi wymaluję wam orła białego, byście pamiętali być jak ten ptak niewinni i jak on waleczni i szlachetni.

Nie będę ci, mój Stasiu, opowiadać, jak Lech dalej swoje miasto stawiał, bo byłoby to bardzo długo, powiem ci tylko, że je wystawił piękne, nad jeziorem, gdzie dotąd stoi, i gdzie kiedyś pojedziemy, żebyś sam zobaczył tę pierwszą polską stolicę.

Ten Lech miał synów i wnuków, niektórzy byli tacy jak on zuchy, inni niebardzo dobrze się sprawiali, ale dwóch najlepiej pamiętam, to jest Krakusa i Przemysława. Ci dwaj chcieli także coś mądrego i pożytecznego zrobić, więc dalejże i oni tak jak Lech stawiać miasta. Przemysław swoje nazwał Przemyślem, a Krakus Krakowem i tym sposobem było już trzy miasta w Polsce.

Zofia Bukowiecka.

— Ja wiem, że dziewczynka taka pilna, jak ty, Heleniu, chętnie przystanie na egzamin.

— A więc chodźmy — zawołał Lutek — ja będę profesorem, ale ostrzegam zawczasu, że na dziś tylko Anielka przełożoną, a Adaś, który podobno kieruje się na uczonego, kuratorem lub dyrektorem.

Mama i ojciec udali się do gospodarskich zajęć, a egzaminujący i egzaminowana do szkolnego pokoju.

— Ja, profesor, wchodzę na mównicę — wołał Lutek, wskazując na stół — panno Heleno M. proszę.

— Cóż mam robić?

— A, piękna konduita w ten sposób odpowiadać profesorowi, przerywać, gdy tenże mówi? Pani masz pałkę ze sprawowania.

— Ależ bo ja nie wiem, czego ty chcesz odemnie?

— A to pytanie? chcę, żebyś przysłała i rzuciła mię ze stołu; albo nie, lepiej daj mi sera.

— Czy zaraz? przyniosę od mamusi.

— Ale cóż znowu, te dziewczyny zawsze do niczego, nic nie rozumieją, „dać sera” to przyprzeć kogoś tak silnie do ściany, żeby aż kości trzeszczały; ty tego pewno nie potrafisz, ale jakeśmy raz dali sera jednemu uczniowi z naszej klasy, to ledwo zipał.

— I czegoż mu tak dokuczać? — zagadnęła Anielcia.

— Ciekawy jestem, co to za dokuczanie? — zawołał Lutek zdumiony, stojąc na stole, plecami oparty o ścianę i z rękami zaciśniętymi w pięści, jak do walki — dopiero mi dokuczanie, każdy nowy musi dostać sera; myślisz może, że my to jakieś malowane lalki? pieski angielskie? piecuchy? ho! ho! my zuchy.

— Długo jeszcze będzie tych głupstw, Lutek? — rzekł tonem mędrca Adaś, chodzący po pokoju z rękami w kieszeniach — Anielko — dodał, zatrzymując się przed siostrą — jeżeli mamy egzaminować tę małą, to zaraz mam naznaczony plan zajęć całego dnia i nie mogę trać czasu na próżne gadaniny.

— Patrz, co to za wielki człowiek! nie może chwili poczekać; ale jak ty, nudziarzu, zaczniesz egzaminować to ja uciekam za dziesiątą granicę, do widzenia, pa! filozofie, ja idę na lód.

I żywy Lutek szybko wybiegł z pokoju. A z powagą zasiadł przy stole.

— Helenko — rzekł — pokaż mi najpierw twój program nauk.

Dziewczynka z obawą spojrziała na mądrego brata.

— Ty mię egzaminuj, Anielko, moja droga — spojrzała.

— Co, co mówisz? — pytał Adaś, dosłyszawszy, że się boisz mnie? widać nic nie umiesz; ponieważ ty sobie tego życzy, wypytuj ją jednak, Anielko, ja ją słuchał — i miarowym krokiem rozpoczął swą wykładkę po pokoju. Tymczasem Anielka zaczęła zagadki zadawać Heli różne pytania z religii, historii po

skieję, geografii, arytmetyki, a dziewczynka nieśmiała, ale w ogóle trafne dawała odpowiedzi, tylko od czasu do czasu zbijały ją z tropu pogardliwe uwagi brata. W końcu przeszły do czytania francuskiego.

— Ach! cóż ty za akcent kładziesz? — zawołał Adaś — do tego mylisz się, oczywiście nic nie umiesz.

Heli łyż się w oczach zakręciły; na kilka tygodni przedtém, wczoraj nawet byłaby się rozplakała, ale teraz zadała sama sobie pytanie, jak Anielcia postąpiłaby na jej miejscu i po chwili namysłu powiedziała półgłosem:

— Nie gniewaj się, Adasiu, jabym bardzo chciała dużo umieć, staram się o to z całego serca, może też na Wielkanoc będę mądrzejsza.

Adaś spojrział na nią zdziwiony:

— Co ci się stało mała? napad rozsądku?

— Od dziś chcę być zawsze rozsądną.

— Zawsze? hm... hm... zobaczymy... — rzekł

Adaś z powątpiewaniem, a Anielcia ucałowała siostrzyczkę.

— Bardzo dobrze, Helutko — szepnęła jej do uszka.

Od téj chwili Hela nikomu nie dała się ubiedz w uprzejmości i usługiwaniu braciom; z Lutkiem łatwo poszło: kilka kolorowych wstążeczek do zaplecenia war. koczy kucowi, przyszyć guzika do rękawiczek, ofiarowanie ładnej portmonetki na gwiazdkę i tym podobne drobnostki przekonały chłopca, że „Hela to wcale porządna dziewczynka”, ale z Adasiem sprawa była trudniejsza, bo wszelkie usiłowania siostrzyczki obijały się o jego zarozumiałość i udawanie uczonego.

(d. c. n.)

SZARADA (Sztubak).

*Pierwsze trzecie niezbędne do wozu,
Drugie trzecie oznacza czas przeszły,
A wszystko razem stanowi
Rzecz potrzebną gospodarzowi.*

ROZWIĄZANIE DO N-ru 10-go.

Łamigłówni kryształowej:

W
R A K
W A N D A
O D A
A

Skrzynka do listów.

Nimfę, Rusałkę i Niedźwładka prosimy aby, jako miejscowi enumeratorowie, zgłosili się sami do redakcyi, dla porozumienia dokładniejszego o brakujące numera.

Sarneczce z nad Sanu. Żądane N-ra odesłaliśmy.

Zuzulka z nad Tykicza. Bardzo jest niesprawiedliwa, posądza redakcyę o zapomnienie. Wszyscy nasi korespondenci, są zawsze ochani i przykro nam niezmiernie, że choroba była przyczyną długiego milczenia Zuzulki.

Kuropatwa z nad Ikopetiu słusznie się za „Kochaną panią” modli, bo i sama jest ona słabą i wielkie zesłał Bóg na nią zmartwienie, poleca się więc i nadal modlitwom wszystkich swych dzieci.

Malinę z Siedlec prosimy aby, ze względu na to co do Kuropatwy napisaliśmy, i sama cierpliwą być chciała.

Halkę z Litwy witamy z radością jako nową korespondentkę. Pseudonym bardzo się nam podobał.

Leszek Biały bardzo nas swoim listkiem ucieszył ale czemu czekał na listowy papier; do „Kochanej pani” pisze się na najwyczejniejszym. Nie dziwi nas wcale, że forteca najwięcej się Leszkowi podobała — był to dar mamy.

Jowisza prosimy aby sam zgłosił się po brakujące numera. Odpowiedź na konkurs „o wytrwałości” umieszczona była w N. 10.

Stokrotka z nad granicy trafnie odgadła rebus. Za rubla, przyslanego dla biednego ucznia na wpis, serdecznie dziękujemy Kochanej Stokrotce.

Stary Żubr, jako stary przyjaciel, i siostrzyczka jego **Różyczka polna** dawno są wpisani na listę stałych naszych korespondentów, a wyrozumiewamy, że nauka gimnazjalna nie wiele czasu na listy zostawia.

Wielki Wężu! Z kądże ci się to wzięło na karnował do Warszawy przyjeżdżać, te światowe rozrywki z pseudonymem i wiekiem twoim nie godzą się wcale.

Śnieżycy i Krasnolicy wymawiamy, że nas o tak krótką pamięć posiadają. Nasze uczucie dla kochanych czytelniczek trwa dłużej jak śnieg, a nawet jak niejedna краса, dla tego obrazamy się bardzo, ale jeszcze bardziej je kochamy.

Siorotkę chcielibyśmy do serca przytulić i pocieszyć, bo tak jak powiedziała Hofmanowa: wszystkie polskie dzieci są naszymi dziećmi, a tembardziej te, które matki nie mają. Wierszyk wydrukujemy.

Szcebiotce donosimy, że panienska, o którą zapytuje pisywał będzie do „Wieczorów” pod pseudonymem **Włoszka**

Bulance serdecznie dziękujemy za życziwe słowa, są one dla nas wielką do pracy zachętą.

Jabłonce z Podola. Historia Zdanowicza wysłana. *Pamiętka po dobrej matce* kosztuje bez oprawy kop. 90 w oprawie rs. 1 kop. 40 należy wszakże liczyć jeszcze przesyłkę pocztową.

Kochana Dębinko! Dziękuję ci serdecznie za twój listek. Na imię mi Marynia, mieszkam na Wołyniu, nad rzeczką Ikopet. Mam trzech braci i siostrzyczkę, uczę się dotąd w domu, przy nauczycielu. Całuję cię serdecznie Kuropatwa.

Kochana Różyczko Jerychońska! Bardzo cię pokochałam; chciałabym z tobą korespondować przez „Wieczory”. Jak Basia przyjdzie do ciebie ucałuj ją odemnie, proszę cię. Jaka powiastka w „Wieczorach” najlepiej ci się podoba? Mnie się najlepiej podoba „Tajemnica staro klasztoru”. Przesyła ci całus twoja Różyczka polna.

Kochany Orle z nad Wisły! Bardzo mi się podobał twój pseudonym, dla tego też chciałabym z tobą zawiązać korespondencyę. Na imię mi Stanisław, mam lat 13, jestem w trzeciej klasie w 5 gimnazyum. Z wielką niecierpliwością oczekuję piątku, gdyż w ten dzień odbieram „Wieczory”. Czyż i ty tak? twój Jaguar z nad Wisły,

Kochany Pegazie! Dziękuję ci za twoją odpowiedź. Postaram się nie zaniedbywać naszej przyjaźni. Zmieniam pseudonym Purytaniu, gdyż mi się nie podoba. Do widzenia, twój Polak.

Kochana Stokrotko z nad Stochodu! Przesyłam ci tysiączne całusy twoja Stokrotka z nad Granicy.

Droga Biała Różo! Zdaje mi się że cię znam dobrze, nazywasz się Adzia W. mieszkasz w Lublinie, masz pięć siostr, jesteś moją blizką krewną. Bądź tak dobra i odpowiedz mi jak najprędzej, bo jestem bardzo ciekawa. Twoja Bulanka.

Kochana Lilio z Pobereża! I ja ciebie znam, mieszkasz nie daleko odemnie, widujemy się na ślizgawce. Masz siostrę Wicię i brata Jordana. Serdeczna Jabłonka z Podola.